

# Hidden Feelings



W szkole udawali nieznajomych.  
Poza nią stali się dla siebie wszystkim.

KATARZYNA MAŁECKA



Copyright © 2023  
Katarzyna Małecka  
Wydawnictwo NieZwykłe  
All rights reserved  
Wszelkie prawa zastrzeżone

**Redakcja:**

Alicja Chybińska

**Korekta:**

Joanna Kalinowska

Joanna Boguszewska

Katarzyna Olchowy

**Redakcja techniczna:**

Paulina Romanek

**Projekt okładki:**

Paulina Klimek

**Autor ilustracji:**

Marta Michniewicz

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8320-917-3

**KATARZYNA MAŁECKA**

# **HIDDEN FEELINGS**

**OŚWIĘCIM 2023**

*Jeśli przechodzisz przez piekło, nie zatrzymuj się.*

Winston Churchill

## Prolog



Maeve Cunningham pojawiła się w jego życiu niczym huragan. Wdarła się w nie nieproszona, niespodziewanie przewracając je do góry nogami. Kiedy spojrzała na niego tego ranka przed rozpoczęciem lekcji, serce chłopaka zabiło mocniej i już wiedział, że nie ma dla niego ratunku.

Przez pięć ostatnich lat jedynie egzystował, między jedną a drugą przeprowadzką, między wrzaskami ojca a jego ciosami. Czuł, że małe miasteczko, do którego zmierzali, okaże się kolejnym niewypałem. Justin już dawno stracił nadzieję na stabilizację, przestał liczyć razy, kiedy ojciec ponownie rozkazywał spakować mu manatki, by następnego dnia wyruszyć w drogę w nieznane.

Miał dosyć takiego życia. Nienawidził wszystkiego, co nowe. Przerażała go wizja niewiadomej, tego, co na niego czekało. Nowe miejsce zamieszkania, nowa szkoła, nowe twarze. Taki typ jak on nie posiadał przyjaciół. Wyobcowany, zdystansowany, aspołeczny. Chował się w swoim małym, ledwie umeblowanym pokoju, z dala od obelg, śmiechu, drwin. Mimo tego, iż w domu wcale nie czuł się lepiej, wolał stawiać czoła ojcu niż bandzie rozpuszczonych dzieciaków. Szczerze ich nienawidził, gardził nimi, bo i oni gardzili nim. Dla nich zawsze był słaby, żaloszny i zabawny. Dla nich był jedynie żartem, obiektem do wyżycia się. Wtedy schylał głowę i uciekał, by ponownie zaszyć się w swoim azylu.

Tylko tam mógł odzyskać spokój.

Nienawidził ojca za to, że wciąż jeździli z miejsca na miejsce, a on w wieku siedemnastu lat ledwo nadążał z programem nauczania. Miał cichą nadzieję, że w Conway zagrzeją miejsca na dłużej, że tajemnicza praca ojca będzie tą na stałe. Nie miał za to nadziei, że w nowej szkole kogokolwiek go polubi. Jechał z przekonaniem, że nic nie zmieni się na lepsze, że scenariusz się powtórzy.

Mimo to wydarzyło się coś, o czym nie miałyby odwagi nawet śnić.

Nie był gotowy na dziewczynę o najpiękniejszym uśmiechu, jaki kiedykolwiek widział, różowych włosach i zadziornym spojrzeniu. Ich pierwsze spotkanie nie przebiegło najlepiej, zabrakło mu słów, więc stał i podziwiał najwspanialszą istotę na świecie, dukając odpowiedzi na zadane przez nią pytania. Nie miał pojęcia, dlaczego do niego podeszła, dlaczego zdecydowała się przedstawić, ale to nie miało żadnego znaczenia. Liczyło się to, jak ich oczy się spotkały, jak na niego patrzyła, jak serce waliło mu w piersi.

Z pozoru niewinny układ, który zawarli, przerodził się w coś, co zaskoczyło ich oboje. Uzależniała go od siebie, sprawiała, że czuł się żywy, wniosła do jego życia... światło. Była jak ciepły letni deszcz, jak promienie słońca ogrzewające policzki, jak spełnienie najskrytszych marzeń. Dlatego zakochanie się w niej było takie proste, choć wtedy myślał, że nie mieli żadnych szans.

Popularna dziewczyna i dziwak? To nie mogło się udać.

A jednak życie lubi zaskakiwać...

# Rozdział 1



## Justin

W sobotnie popołudnie docieramy na miejsce. Ze ściągniętymi brwiami spoglądam na nasz nowy „dom”, a jedynie, co kotłuje mi się w głowie, to pragnienie, by wziąć nogi za pas i spieszyć dokądkolwiek, byle tylko nie przekraczać progu tej rudery. Nie spodziewałem się luksusów, ale nawet nasz poprzedni dom znajdował się w o wiele lepszym stanie niż to coś, co właśnie mam przed oczami. Mały, odrapany budynek z czarnym jak smoła dachem, nie wyróżnia się niczym szczególnym na tle pozostałych budynków na tej ulicy. To zdecydowanie nasza najgorsza miejscówka, do tej pory ojciec inwestował w coś normalnego.

Na samą myśl, co zastanę w środku, robi mi się niedobrze. Czuję niepokój w sercu, coś zaczyna znajomo dusić mnie w piersi, mimo to staram się to zignorować, zanim pochłonie mnie całkowicie. Ojciec ponownie miałby powód do obrzucenia mnie szyderstwami.

– Wsiadka! Nasze nowe lokum! – oświadcza z zadowoleniem.

Gasi silnik starej toyoty, wychodzi na zewnątrz i zaciąga się powietrzem, jakby było najczystsze na świecie. Niepewnie idę w jego ślady, dociskając do piersi plecak. Strzelam wzrokiem na prawo, potem na lewo, skanując otoczenie. Po obu stronach

ulicy ciągną się rzędy domków, ale to panujący wokół rozgardiasz zwraca moją uwagę. Na pierwszy rzut oka widać, że nikt nie kwapi się do zadbania o trawnik czy opróżnienie zapełnionych koszy na śmieci. To zdecydowanie ta gorsza dzielnica miasta.

– Chodź, wejdziemy do środka.

Bez słowa podążam za ojcem. Otwiera drzwi kluczem, przekracza próg, a kiedy robię to ja, w moje nozdrza uderza paskudny zapach stęchlizny, który niemal zwała mnie z nóg. Zatykam nos, bo treść żołądka już podchodzi mi do gardła. Tak jak się spodziewałem, w środku jest jeszcze gorzej. Ściany nie widziały farby od lat, w niektórych miejscach odpada stara, wyblakła tapeta. Poprzedni lokatorzy nie pozostawili po sobie nawet minimalnego porządku, a to oznacza, że czeka mnie wiele pracy, bo ojciec nie ruszy nawet palcem.

– Nie jest źle – mówi, drapiąc się po brodzie.

Faktycznie... jest gorzej niż źle.

W salonie znajduje się drewniana szafa, sofa w paskudne kwiaty oraz komoda. Z okien zwisają poszarpane zasłony, dywan w dziwne wzory aż się prosi o wyrzucenie, zaś z kwiatów pozostały tylko suche badyle. Kręcę głową, bo z takiego syfu nie da się wybrnąć.

– Tu nie da się mieszkać – dukam z obrzydzeniem.

– Nie przesadzaj. – Ojciec obrzuca mnie obojętnym spojrzeniem. – Wystarczy posprzątać i będzie cacy.

Rzuca klucze na stolik, po czym wraca do samochodu i taszczy walizki. Nasz dobytek zmieścił się w zaledwie trzech, mimo to pomagam, żeby nie miał pretekstu do narzekania, jaką to jestem pomyłką i jak bardzo mnie nienawidzi.

– Ogarnij tu trochę. Jadę do miasta po jakieś środki czystości.

– Jasne – burczę pod nosem, mijam ojca i wchodzę do kuchni.

Przystaję w progu, opieram się ramieniem o futrynę i rozglądam po pomieszczeniu. Jestem zaskoczony, w jak dobrym stanie



są meble oraz podłoga. Spodziewałem się kopii salonu, niemniej jednak jest tutaj naprawdę przyjemnie. Po gruntownym wysprzątanu to miejsce będzie nadawać się do zamieszkania. Mam tylko nadzieję, że nie zdążyło się tu załęgnać jakieś robactwo.

\*\*\*

Po powrocie ojca z miasta natychmiast zabieram się do pracy. Sprząatanie zajmuje mi ponad pięć godzin, więc kiedy kończę, jest grubo po ósmej wieczorem. Łazienka lśni czystością, blaty w kuchni można lizać, zaś podłoga jest tak czysta, że można się w niej przejrzeć. Oczywiście z ust ojca nie padają żadne słowa podziękowania. Przytaszczył z samochodu telewizor, ustawił go na chybottliwej komodzie, uwalił nogę na stoliku i otworzył piwo, olejając mnie i to, ile jeszcze pracy trzeba włożyć w uporządkowanie tego syfu. Przywykłem, że jestem dla niego ciężarem, kimś, kogo najchętniej by zatłukł, gdyby nie miał ze mnie choć minimalnego pożytku, więc nie dziwi mnie jego zachowanie.

Dopiero po długim prysznicu i niezbyt obfitej kolacji składającej się z chleba z żółtym serem, kładę się we własnym łóżku i wlepiam wzrok w sufit. Dzięki sprzątanu nie myślałem o poniedziałku i nowej szkole napawającej mnie czystym przerażeniem.

Nie wyobrażam sobie ponownie zaczynać od nowa, ale ojciec nie pozostawił mi wyboru. Jestem niepełnoletni, jest moim jedynym opiekunem, więc nawet gdyby chciał mnie porzucić, nigdy tego nie zrobi. Jeśli wpadłbym w łapska policji, ojciec miałby kłopoty. Myślę, że właśnie z tego powodu nadal trzyma mnie przy sobie, dopóki nie ukończę osiemnastu lat. W tym momencie nie zamierzam zadrećcać się myślą, gdzie się podzieje, skąd wezmę pieniądze i jak zdołam przeżyć. A mam pewność, że ten tyran wykopie mnie minutę po północy szóstego maja.

Kiedy nie pił, był całkiem znośny. Czasami zdarzało nam się wspólnie obejrzeć telewizję, raz nawet pozwolił mi się napić piwa, ale smak tego napoju był tak okropny, że z ochotą oddałem mu puszkę. Jednak kiedy ojciec pił, a robił to niemal codziennie, totalnie mu odpierdalało. Wtedy starałem się nie wchodzić mu w drogę, chociaż on sam mnie odnajdywał. Czasami tylko bluźnił, żalił się, że matka to suka, która go opuściła i związała z innym, zostawiając mu na głowie obowiązek w postaci mojej osoby. Mimo tego, jak bardzo mnie nienawidził, nigdy nie oddałby mnie matce. Z zemsty. Kochała mnie, słyszałem, jak błagała, by mogła zabrać mnie ze sobą, ale ojciec kazał wypierdalać jej i zatrzaskał drzwi przed nosem. Groził, że nigdy mnie nie dostanie, że jest zdradziecką kurwą i jeśli pokaże mu się na oczy, zabije ją bez wahania. Słyszałem wszystko przyczajony za ścianą, zapłakany, ze złamanym sercem. Mama była dla mnie wszystkim. Miałem tylko dwanaście lat, gdy odeszła, naprawdę jej potrzebowałem, ale od tamtej pory nigdy więcej nie widziałem rodzicielki.

Innym razem wpadał w szał, bił mnie bez opamiętania, niszczył moje książki, zeszyty, rozrywał i tak kiepskiej jakości ubrania. Marzyłem, żeby przywalić mu w twarz i posłać do diabła, lecz nie miałem jeszcze na tyle odwagi, choć gromadziło się we mnie mnóstwo gniewu. Bałem się swoich myśli, tego, do czego mógłbym się posunąć, kiedy wszystkie hamulce wreszcie puszcza. Nigdy nikogo nie skrzywdziłem, nikogo nie obraziłem, bo mama nauczyła mnie szacunku do drugiego człowieka. Dlatego przerażała mnie wizja, że mógłbym skrzywdzić własnego ojca.

Wzdycham i myślę o mamie. Tęsknię za nią, choć od jej odejścia minęło pięć długich lat. Była dobra, uczciwa i kochana, ale trudno żyło jej się z ojcem. Nie winię jej za to, bo mnie również było ciężko. Ojciec został obdarzony cholernie trudnym charakterem, a mama okazała się dla niego po prostu za dobra. Znosiła jego napady furii, alkoholizm, przemoc aż do nocy, kiedy nie-

mal skatował ją na śmierć. Na wiele dni wylądowała w szpitalu z pękniętymi żebrami, wstrząśnieniem mózgu i złamaną ręką. Nie przyznała się do tego, jak urządził ją jej własny mąż, po prostu zeznała, że spadła ze schodów. Teraz, kiedy o tym myślę, mam do niej żal, bo tamtego dnia mogła to zakończyć. Ojciec wylądowałby w więzieniu, opuścił dom, a my odzyskalibyśmy spokój. Przynajmniej na chwilę. Mimo to nie wróciła do nas. Ponoć odeszła ze swoim kolegą z pracy. Dopiero potem ojciec mi powiedział, że dawała mu dupy na długo, zanim się rozwiedli.

Żałuję, że się ze mną nie pożegnała. To dla niej starałem się pozostać dzielny i odważny, lecz ona zniknęła tak nagle, nie pozostawiając po sobie śladu. Złamała mi tym serce. Nagle stałem się cichy, strachliwy, odizolowany, zdystansowany. Nie łągałem do rówieśników, z nikim się nie przyjaźniłem, nie szukałem kontaktu. Jedyna osoba, na której mi zależało i która miała na mnie zbawienny wpływ, odeszła, zabierając ze sobą część mnie. Byłem tylko dzieckiem, nie rozumiałem wtedy, dlaczego mnie porzuciła, skoro tak wiele razy szeptała, jak bardzo mnie kocha. Obiecywała, że wszystko będzie dobrze, że pewnego dnia ten koszmar się skończy. Kiedy odeszła, mój dziecięcy świat po prostu się zawalił. A miało być jeszcze gorzej, bo musiałem mierzyć się ze światem w pojedynkę, z ojcem alkoholikiem na karku.

Chciałbym wiedzieć, gdzie teraz mieszkała. Powiedziałbym jej, jak bardzo ją kocham, i że nie jestem zły, że postanowiła spróbować lepszego życia. Zasłużyła na to po tych wszystkich latach przy ojcu. Mama była aniołem.

\*\*\*

Noc była dla mnie ciężka. Prawie nie zmrużyłem oka, wierciłem się, przewracałem z boku na bok, wyobrażając, co czeka mnie w nowej szkole. Zmieniałem je jak rękawiczki, coraz trudniej przychodziło mi się w tak krótkim czasie zaaklimatyzować,

a jeszcze trudniej nadażyć z programem nauczania. W żadnej szkole nie nawiązywałem przyjaźni, bywało, że nikt nie zwracał na mnie uwagi, ale nie zawsze miałem szczęście. Przeważnie stałem się popychadłem dla silniejszych, by mogli pokazać swoją siłę, przewagę oraz pozycję. Nienawidziłem tych wyrosniętych mięśniaków, którzy musieli udowodnić sobie i innym, jacy są zajebišci. Przechadzali się w kurtkach z logo szkoły, pręźnie wypinając piers. Za nimi, niczym potulne pieski, biegały piękne dziewczyny, łaknąc ich uwagi. Typowe. Obserwowałem ten spektakl nie tylko z zażenowaniem, ale i z nutką zazdrości. Wiedziałem, że ja nigdy taki nie będę i czasami miałem żal do świata za to, jaki się stałem. Ojciec nazywał mnie mięczakiem bądź pizdą. Wstydził się mnie, patrzył na mnie z obrzydzeniem, jakbym był śmieciem pod jego ubłoconymi buciurami.

Może gdybym był takim mięśniakiem, pewnym siebie, przystojnym, wyszczekany, ojciec traktowałby mnie z szacunkiem? Mimo swoich siedemnastu lat nadal nie miałem na tyle odwagi, by mu odpyskować albo, o czym skrycie marzyłem, przywalić mu w ten szpetny ryj.

Naprawdę byłem żaloszny.

\*\*\*

Wstaję skoro świt, biorę szybki prysznic i spoglądam na swoje ubrania. Nie ma tego zbyt wiele, niektóre z nich są znoszone, poprzecierane, ale na nic nowego się nie zapowiada. Wybieram swoją ulubioną szarą bluzę, zwykłe jeansy i trampki. Włosy, które nigdy nie chcą się ułożyć i żyją własnym życiem, przeczesuję palcami i chowam pod kapturem. Muszę je przyciąć, bo zaczynają opadać mi na oczy.

Kiedy wchodzę do kuchni, zastaję w niej ojca. Siedzi nad kubkiem kawy, z gazetą w ręce i mamrocze coś pod nosem. Dzisiaj zaczyna nową pracę, nie zliczę już którą. Do tej pory zajmował

się wszystkim, co wpadło mu w ręce, zaczynając od kasjera w supermarkecie, gdzie fatalnie sobie radził, po rozwożenie paczek. Szybko wyleciał, kiedy tylko szef się zorientował, co ojciec kocha najbardziej.

Tym razem padło na warsztat samochodowy, ale jeśli dalej będzie wlewał w siebie alkohol, pewnie nie zagrzeje tam miejsca na długo.

– O której wrócisz do domu? – pyta, nie zaszczycając mnie spojrzeniem.

Chwytam lekko nadgnite jabłko i obracam je w dłoniach.

– Nie wiem – odpowiadam. – Nie mam jeszcze planu lekcji.

– Ja będę dzisiaj późno, więc zorganizuj sobie coś do jedzenia.

No tak, gdyby to było takie proste. Ojciec nie raczy rzucić nawet pięciu docłów.

Na samą myśl, jak beznadziejna jest nasza sytuacja, muszę ugryźć się w język. Wiele razy proponowałem ojcu, że znajdę coś dorywczego, mógłbym nawet rozwozić gazety, przynajmniej wpadłoby coś do kieszeni. Za każdym razem rugał mnie bez krzty litości, wmawiając, że nawet do tego się nie nadaję. Ranił każdym słowem, z premedytacją posyłając mnie na samo dno. Niemniej jednak jeśli czegoś nie wymyślę, z czasem będzie jeszcze gorzej.

Nie odpowiadam, po prostu wychodzę, nie oglądając się za siebie.

Dotarcie do szkoły zajmuje mi dokładnie siedemnaście minut piechotą. To zbyt mało czasu na ukojenie nerwów, przydałoby się ze dwa razy tyle, z drugiej zaś strony im szybciej tam wejść, tym lepiej. Niepewnie spoglądam na wielki budynek otoczony alejkami, drzewami, ławeczkami. Czuję się dokładnie tak samo, jak te naście razy wcześniej, kiedy przychodził czas na nowe miejsce. Mimo tego, iż miałem za sobą wiele szkół, nadal nie przywykłem do uczucia niepewności i strachu. Chciałbym, sto-

jąc teraz tutaj, przysięgając sobie, że to ostatnia szkoła, którą zaczynam, ale zbyt dobrze wiem, że byłoby to kłamstwo.

Okolica różni się od tej, w której mieszkam, mimo odległości, jaka je dzieli. Wystarczy kilka minut i nagle znajduję się w innym świecie; czystym, przyjaznym, kolorowym. Nigdzie nie walają się śmieci, nie cuchnie, wszystko jest tutaj zadbane, a trawa tak soczyście zielona, aż chciałoby się zdjąć buty i poczuć ją pod stopami. Budynek szkoły wygląda jak z obrazka. Duży, elegancki, z brązową cegłą oraz napisem „Conway High School”. Pierwsza myśl, jaka przychodzi do mi głowy, to jak bardzo tutaj nie pasuję. Kręcące się wokół dzieciaki rozmawiają głośno, śmieją się zapewne z dobrych żartów. A ich ciuchy? Odruchowo spoglądam na własne, tak odbiegające od „stylowych”. Mocniej naciągam kaptur na twarz, by ukryć się przed otoczeniem. Traktuję go jak zbroję. Czuję się dzięki niemu bezpiecznie, jakby patrzenie na świat spod jego brzegu czyniło mnie niewidzialnym.

Żałuję, że to tylko moje urojenia.

Zmuszam nogi do ruchu, wchodzę do środka, przystając tuż za progiem. Rozglądam się po wnętrzu, szukając wzrokiem sekretariatu. Na ścianie tuż przy wejściu dostrzegam rozrysowaną mapkę szkoły, co ułatwia mi odnalezienie interesującego mnie miejsca. Po drodze mijam wielką gablotę, więc przystaję, by z ciekawości rzucić na nią okiem. Oglądam mnóstwo zdjęć z różnych zawodów; pływackich, łuczniczych, atletycznych. Przesuwam wzrok na prawo i wpatruję się w stojących dumnie mięśniaków z drużyny futbolowej; Conway Lions. Prężą klaty i mięśnie niczym władcy całego świata, zaś wokół nich zgromadziły się uśmiechnięte od ucha do ucha cheerleaderki. Puchar stojący pośrodku dopełnia zdjęcie.

Widzę mnóstwo zdolnych dzieciaków, które z pewnością znajdą w życiu daleko. Mają zainteresowania, pasje, w których się spełniają, wygrywają nagrody. Ja nawet nie wiem, co będzie ju-

tro, czy będę miał co zjeść, nie wspominając o tym, czy ponownie nie zarobię ciosu od wkurwionego ojca.

Życie jest popierdalone.

Ruszam dalej, przemykając korytarzem. Kiedy wchodzę do sekretariatu, wita mnie miła, starsza kobieta, w okularach tak dużych, że pokrywają niemal całą jej twarz. Zsuwam kaptur, by nie uznała mnie za świra, i posyłam jej lekki uśmiech. Natychmiast go odwzajemnia, ściska mi dłoń i przedstawia się, po czym prosi o moje nazwisko. Od razu tłumaczę, skąd się tutaj wziąłem, ale Lidia uspokaja mnie, że została już wcześniej o wszystkim poinformowana.

– Ach... czekałam na ciebie! Proszę, tutaj jest twoja rozpiska zajęć, spis lektur oraz zajęć dodatkowych, które musisz wybrać. Pierwsze lekcje zaczynają się za dziesięć minut. Poradzisz sobie? – pyta, zerkając na mnie znad oprawek.

Czy sobie poradzę? Jestem w tym miejscu pierwszy raz w życiu, tak naprawdę nie mam pojęcia, gdzie znajduje się sala, do której powinienem się udać, mimo wszystko nie zamierzam jej o tym mówić.

– Tak, jasne. Dziękuję. – Odbieram kartkę, wysilam się na uśmiech i opuszczam pokój.

Na korytarzu panuje tłok, a rozmowy są głośne i męczące. Staję pod ścianą, by uniknąć staranowania, pochylam głowę i spoglądam na trzymaną w dłoni kartkę. Pierwszą lekcją okazuje się język angielski w sali numer sto dwanaście. Spoglądam na mapkę, dzięki której powinienem bez problemu trafić.

– Joł, ziom!

Nagle znikąd przede mną wyrasta jakiś dzieciak. Gestykułuje rękami, jakby udawał rapera, a ja patrzę na niego jak na wariata. Jest wyższy, ale chudy, a na widok jego dredów robi mi się niedobrze. Wyglądają jak gówno i taki też wydzielają zapach.

– Coś taki zagubiony? – pyta, szczerząc się od ucha do ucha.

– Nie jestem zagubiony, tylko nowy – odpowiadam, próbując się nie jąkać.

Nienawidzę tego, lecz w sytuacjach stresowych prawie nie jestem w stanie wydukać z siebie słowa bez pieprzonego jąkania. Ojciec szaleje, kiedy to się dzieje, wtedy robi się jeszcze brutalniejszy, nie szczędzi mi okropnych słów i ciosów, jakby rękoczynami próbował mnie zmienić. Dlatego jestem dla niego pizdą, która nie przypomina faceta.

– Pomóc ci? – Nachyla się, bezczelnie zaglądając w trzymaną w moich dłoniach kartkę. – Sala sto dwanaście jest na drugim piętrze, ziom!

Wzdycham, ponownie słysząc to durne słowo.

– Dzięki... ziom. – Kręcę głową, mijam go i zierzam w stronę schodów.

Po dotarciu na drugie piętro i pod odpowiednie drzwi, niepewnie wchodzę do środka, z ulgą zauważając, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. Od razu zajmuję ławkę w najdalszym kącie, by nie rzucić się w oczy, dzięki temu jakoś przetrwam tę lekcję i wiele kolejnych. Pierwsze dni zawsze są najgorsze. W każdej nowej szkole poświęcam sporo czasu na obserwację, w ten sposób wiem, kto ma ego wielkości Stanów Zjednoczonych, kto jest królem i królową, a kto bez wahania wydrapałby ci oczy. Nigdy nie nawiązuję przyjaźni, bo nikt nigdy nie chciał się ze mną zadawać. Nauczyłem się być dla wszystkich niewidzialny.

Do sali wchodzi coraz więcej młodzieży. Zajmują swoje miejsca, rozmawiają, dzielą się ploteczkami. Zawsze trochę im zazdroszczę, choć nie jestem pewny, czy zdołałbym się z kimkolwiek zaprzyjaźnić. Jestem specyficznym człowiekiem, mam tego pełną świadomość. Lata życia pod ciężką ręką ojca zrobiły swoje, dlatego tak trudno mi nawiązać kontakt z nowymi osobami. Nigdy nie byłem w pubie, nie wypłem piwa z kumplami, dzieląc się szczegółami łóżkowych podbojów. Nigdy żadna dziewczyna



mnie nie dotknęła, nie pocałowała, nigdy z żadną nie chodziłem. Jestem pieprzonym odmieńcem, totalnie zacofanym.

Która z tych piękności zwróciłaby uwagę właśnie na mnie?

\*\*\*

Dzień mija całkiem spoko, czego kompletnie się nie spodziewałem. To pierwszy raz, kiedy już od progu nie zostałem popchnięty, bądź nazwany dziwakiem. Na lekcjach staram się nie wychylać, na szczęście nauczyciele są dla mnie wyrozumiali i nie naciskają. Jestem im wdzięczny również za to, że nie wymagają ode mnie, żebym się przedstawił, co miało miejsce w kilku innych szkołach. Robiłem z siebie kompletnego idiotę, bo nie chciałem powiedzieć niczego konkretnego. Dzieciaki miały ze mnie ubaw po pachy i wtedy już wiedzieli, że będę ich popychadłem. Tutaj na razie nikt mnie nie zna i wolałbym, żeby tak pozostało.

Na przerwie obiadowej dostrzegam mnóstwo nowych twarzy. Kiedy siadam pod oknem i próbuję wcisnąć w siebie lunch, do środka wchodzi grupka dziewczyn. Jest ich pięć, a na przodzie kroczy zapewne ich liderka. Obserwuję je kątem oka i widzę, że wszyscy inni również na nie patrzą, a najbardziej ci napakowani faceci z drużyny. Ich jednakowe bordowe kurtki nie robią na mnie żadnego wrażenia, za to na dziewczynach owszem. Liderka wygląda mi na pewną siebie. Z gracją przeczesuje sięgające ramion różowe włosy, a jej usta rozciągają się w uroczym uśmiechu. Co dziwne i zaskakujące, nie jest ubrana ani wyzywająco, ani zdzirowato, wręcz przeciwnie, ma na sobie jasne jeansy, białą bluzkę, a na nogach modne adidasy.

Mam za sobą sporo szkół i swoje zdążyłem zobaczyć. Szkolne gwiazdeczki, ulubienice chłopców, nie szczędziły na ubrania. Zawsze wyuzdane, odkrywające zbyt wiele ciała, kręcące ponętne biodrami, byle tylko zwrócić na siebie uwagę. Różowowłosa

jest inna. Na pierwszy rzut oka widać, że to właśnie ona rządzi, a pozostałe cztery pozostają w jej cieniu.

Kiedy podchodzi do stolika, jeden z chłopaków porywa ją na kolana i wpija się w jej usta niczym wygłodniałe zwierzę. Przewracam oczami na to stereotypowe przedstawienie, jednak dziewczyna mnie zaskakuje, odsuwając się od niego i pstrykając go palcem w nos. Schodzi z jego kolan, siada obok i bierze z jego tacy banana. Obiera go ze skórki, wkłada do ust, a facet siedzący obok niej niemal spada na podłogę. Już ona doskonale wie, co robi, obejmując owoc wargami. Jest seksowna, ale nie wyuzdana. Jest po prostu... piękna.